

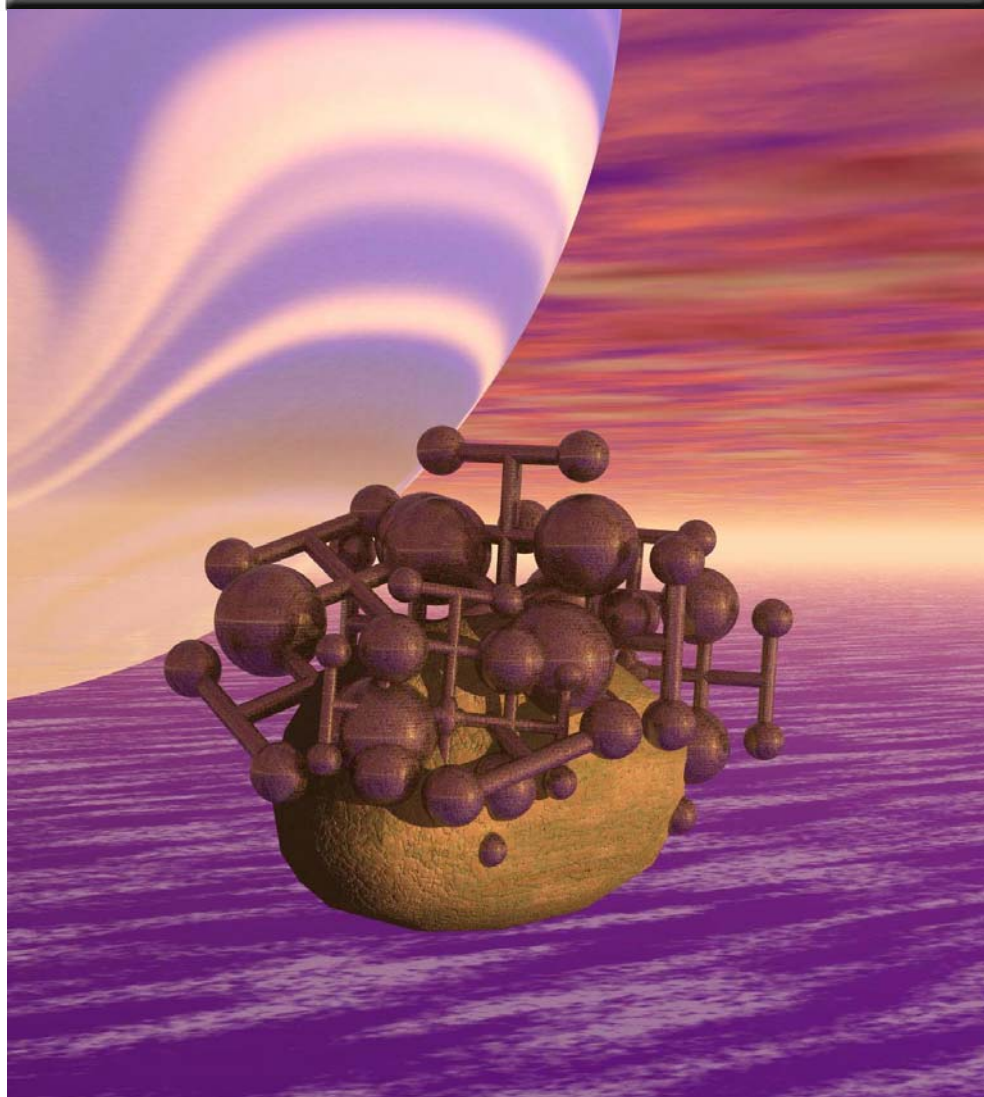
informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 209
sierpień 2006



POWAKACYJNA REFLEKSJA ROZRYWKOWO-WYCHOWAWCZA

Za mojego dzieciństwa rozmaitych atrakcyjnych („gotowych” już) bodźców było o wiele mniej. Dlatego młodzieżowy film, serial, kreskówka – były wydarzeniami, na które się czekało. I odczuwało się ciągly niedosyt! Jak swego czasu stwierdził Jacek Fedorowicz – telewizja doby PRL była zwyczajnie nudna. Tak generalnie; także ta dla dorosłych. Owszem: zachwycaliśmy się rozmaitymi (nb. „kultowymi” do dziś) programami – jednak czasowo były one porozmieszczane w telewizyjnym programie na zasadzie „rodzynka w cieście”. Cóż się więc dziwić, że podczas emisji rozmaitych filmów, seriali, kabaretów, spektakli, teleturniejów, imprez sportowych czy festiwali – szyby były niebieskie od telewizorów?

Teraz stało się odwrotnie. Jesteśmy zasypywani rozrywką – często jednak rozrywką daleką od tego, co ongiś proponowali nam Przybora z Wasowskim, Stuhr z Sobczukiem, zacytowany tu Fedorowicz czy artyści z kabaretu „Dudek”. Chcę być dobrze zrozumiany: nie jestem wrogiem sztuki czysto rozrywkowej, nie ograniczam się też tylko do rozrywki nader „wyrafinowanej” (w wielu swych tekstach poświęciłem wszak sporo życzliwych uwag konkretnym utworom sztuki popularnej) – ale znacząca część dzisiejszej produkcji jest po prostu (nie bójmy się tych słów!) prymitywnie prostacka, schlebiająca najniższym oczekiwaniom i wypaczająca gust odbiorcy. Oczywiście – wiele jest też przykładów znakomitych, godnych polecenia; jednak demon oglądalności opanował już nie tylko telewizję komercyjną (co, z uwagi na reklamodawców, jest zrozumiałe), ale nawet telewizję publiczną (która swą „misję” zepchnęła do późnych godzin wieczornych, dla nielicznych „nocnych Marków”).

Dziś zresztą chyba się nawet trochę tym wszystkim przesyciliśmy. Kiedyś sobotnia projekcja kinowego hitu potrafiła zmienić plany towarzyskie (epoka sprzed możliwości nagrania na wideo); dzisiaj machamy ręką na niewidziany nawet kasowy przebój (na zasadzie: przecież nadadzą to pewnie wkrótce również na innej stacji...). Coś podobnego stało się zresztą z fantastyką: ongiś nieliczne tłumaczenia Dicka wtajemniczeni kupowali spod księgarskiej lady – a teraz ze sterty kolorowych okładek trudno laikowi „wyłowić” jakąś sensowną książkę SF.

Wróćmy jednak do telewizyjnej oferty dla dzieci. Jest jej naprawdę dużo. Chociażby animowany kanał Cartoon Network / Toonami – nadający od świtu do zmierzchu stare i nowe kreskówki. On właśnie natchnął mnie do podzielenia się niniejszymi refleksjami. Jest tam kapitalna klasyka (jak chociażby oscarowi „Tom i Jerry”), są tam współczesne seriale, często dość surrealistyczne i niespecjalnie przeznaczone dla dzieci (jak np. mój ukochany „Chojrak”), jest sporo produkcji przeciętnej (acz akceptowalnej) i komiksowej (raczej w złym znaczeniu tego słowa). I są produkcje zupełnie kuriozalne – będące de facto ożywionymi reklamami równie tandetnych co drogie zabawek. To na przykład serie o „niezwykłych” robotach. Animacja – minimalizm z zastosowaniem komputera (większa część kadru niezmiennie nieruchoma); fabuła – żadna (jakiś pretekstowe pościgi, ale bez fabularnej intrygi właściwie); treści poznawcze i wychowawcze – zerowe (jedyny efekt – to chęć nabycia kolejnego robota oraz pytanie o to, czy istnieje Planeta Szybkości).

Nie uważam wcale, by sztuka miała przede wszystkim uczyć (to ewentualny, i niewątpliwie pożyteczny, „produkt uboczny”). Sztuka – ma przede wszystkim bawić, wzruszać, prowokować (acz może to mieć różny poziom zaawansowania). Ja też w dzieciństwie czytałem komiksy Christy (charakteryzujące się zresztą nader wciągającymi scenariuszami), ja też chodziłem na japońskie filmy o potworach (których na szczęście nie było w nadmiarze) – ale też czytałem Maya, Verne’a, Szklarskiego, Wernica, Nienackiego (dowiadując się przy okazji o Lincolnie, wojnie secesyjnej, historii i geografii odległych kontynentów, rozmaitych ludzkich problemach i obyczajach etc.).

Czy naprawdę w XXI wieku Doktor Dolittle musi przegrać z BadeManem?

URODZINY

Kochani październikowi Jubilaci!
Z okazji miesiąca oszczędzania
życzymy Wam
Taniego Państwa...

Redakcja "Informatora GKF"

- 2 Mieczysław Sierociński
- 3 Andrzej Zimniak
- 10 Krzysztof Grzywnowicz
Rafał Gosieniecki
- 12 Rafał Lackorzyński
- 13 Tomasz Kołodziejczak
- 18 Maja Szmigiel
- 19 Karolina Górską
- 21 Grzegorz Kozubski
- 31 Grzegorz Smyrgała



W dniu 5 sierpnia o godz. 17 w kościele pw. św. Bernarda w Sopocie
Aleksandra Gładysz i Marek Falkowski zawarli związek małżeński.

Życzymy Wam fantastycznej i dłuugiej tej fazy życia
- bogatej we wspólne przeżycia i potomstwo

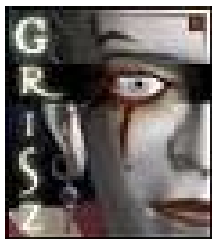
GKF

MANGOWY TELEPORT



VI Ogólnopolski Konwent Miłośników Fantastyki TELEPORT 2006 był jedną z imprez w tym roku, która podtrzymała co nieco polski fandom mangowy, czego nie można ku zdziwieniu chyba i samych organizatorów powiedzieć o fandomie fantastycznym. Po prostu mangowcy zdominowali konwent.

Ale zacznijmy od początku; nie zaś od zadka, bo to nieelegancko. Teleport 2006 po rocznej nieobecności znalazł się znów w Gdańsku, by powrócić w glorii chwały lub zniknąć po tej edycji na wieki. Impreza trwała od 14 do 17 lipca, tj. od piątku od godziny 16 do poniedziałku do godziny 16. Dojazd na konwent nie nastęczał większych problemów, jeśli tylko wysiadło się na stacji Gdańsk-Wrzeszcz, to prościej być nie mogło. O dojeździe z dworca PKP Gdańsk Główny i z PKS-u nie wypowiadam się z braku wiedzy. Gorzej z dostaniem się do wnętrza szkoły, która nie dość, że posiadała 3 wejścia, to w dodatku na uczestników czekała niemiła niespodzianka. Mimo informacji na stronie internetowej o wpuszczaniu na conplace od godziny 12, oczekiwanie przedłużyło się do 15, a potencjalni konwentowicze biegali, jak od Annasza do Kajfasza, z jednego wejścia do drugiego. Okazało się, że organizatorzy przeżywali wewnątrz kryzys, ponieważ zabrakło osoby, która pokierowałaby wszystkim i wiedziała, co gdzie powinno się znajdować. Jednak trzeba przyznać, że w rekordowym czasie 3 godzin szkoła została przygotowana niemal w 90 procentach. Część mangowa oczekiwała jedynie na konsole oraz lepsze maty DDR.



Każdy uczestnik mógł otrzymać wraz z całkiem schludnym czarno-białym informatorem i identyfikatorem zakładkę do książki oraz jeden numer „Mangamixu”. W rezultacie wielu uczestników wyjechało z Teleportu nie tylko z jednym, ale czasem nawet z kompletem numerów tego czasopisma. Informator, pomimo, że kserowany wewnątrz, wyglądał całkiem przyjemnie dla oka. Okładka miała przyjemny w dotyku papier, jedynie do grafiki można mieć zastrzeżenia – naprawdę można było wybrać grafikę lepszą technicznie. Niestety przeciętny mangowiec, a nawet fantasta

niewiele mógł się z tej książeczki dowiedzieć. Trudnością dla mangowców (nieprzyzwyczajonych do tego typu wynalazków) mógł być podział szkoły na strefy, niebieską, żółtą itp. oraz nietypowe przedstawienie planu budynku (najpierw piętra z rozmieszczeniem strefami, a potem poszczególne części z osobna). W środku znajdował się również plan atrakcji z tabelką, opisy atrakcji różnych działów konwentu, obszerny regulamin (za to duży plus), strona ze sponsorami oraz opisy, kto jest kim w dziale „Publicystyka” wraz ze zdjęciami oraz na końcu strona do bazgrania. Niestety opis części mangowej był żywcem skopiowany ze strony i nie dostarczał żadnych informacji.

Sama szkoła była ogrooomna i rozczłonkowana niczym ośmiornica, więc trudno się było w niej połąpać. Bogu dzięki, około 1/4 budynku była zamknięta na cztery spusty (tj. zabarykadowana ławkami) z powodu remontu. Bardzo dużym plusem budynku były przesympatyczne miejsca do siedzenia, czasem również leżenia i jedzenia oraz do konwersacji, znajdujące się na korytarzach, jak również łazienki z szatniami i prysznicami. Przy odrobinie szczęścia można było nawet umyć się w jednym z licznych pryszniców w letniej, a nie zimnej wodzie. Niestety w łazienkach notorycznie brakowało papieru toaletowego, przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia. Rzeczą, która najbardziej nie podobała się konwentowiczom, była hala sportowa, którą zmieniono na

zbiorczą salę sypialną. Część uczestników oczywiście była przyzwyczajona do takich warunków, choćby z poznańskiego Pyrkonu. Siłą rzeczy opozycja wobec spania na hali musiała walczyć i wygrała kilka sal lekcyjnych do spania w strefie mangowej. Niestety, nie obyło się bez zgrzytów w planie konwentu – sala projekcyjna z anime została przeniesiona z dala od pozostałych sal części mangowej, co prawda jakość dźwięku i obrazu w tym miejscu wzrosła, jednak można było o tym pomyśleć wcześniej – w efekcie strefa mangowa okazała się raptem dwoma salami na ostatnim piętrze (DDR i konsole były niżej, a kinówka jeszcze gdzie indziej).

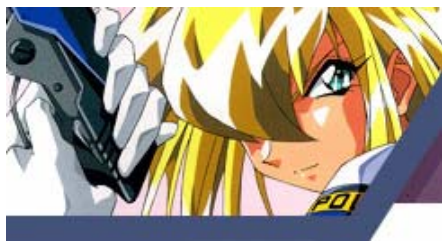
Trzeba jednak powiedzieć, że konwent został bardzo dobrze wyposażony w sprzęt multimedialny. Zarówno główna panelówko-konkursówka części mangowej, jak i sala projekcyjna oraz sala z gramy muzycznymi (DDR i Singstar) były dobrze wyposażone, pierwsze dwie posiadały rzutniki i dość dobre nagłośnienie. Poza tym rewelacją dla mnie było podłączenie niektórych sal do szkolnego łącza internetowego. Jeśli tylko ubłagało się aktualnie siedzącego przy komputerze ogra, można było dostać się do sieci. Zasadniczo uczestnik mógł dowiedzieć się na konwencie wszystkiego, co dotyczy wydostania się ze szkoły i powrotu do domu. Jeśli chodzi o kolejne sprawy zaopatrzeniowo-lokalowe konwentu, to muszę wskazać kolejny minus wynikający chyba z innych przyzwyczajęń organizatorów konwentów fantastów – zabrakło dobrze oznaczonego miejsca z wrzątkiem za darmo (jak ktoś dobrze się postarał, to znalazł czajnik) oraz znanej z wielu imprez darmowej herbaty, kawy i wrzątku w osobnym miejscu. Na szczęście w szkole działał sklepik, gdzie po bardzo przystępnych cenach można było zaopatrzyć się w jedzenie. Dostępne były również hamburgery i zapiekanki, jednak wielu osobom nie smakowały (w tym waszemu drogiemu reporterowi, który zmuszony wilczym głodem nabył gumową zapiekankę za 2 zł – i rzekł: „Nigdy więcej!”). Miła pani ze sklepiku zalewała jednak zupki chińskie konwentowiczom za darmo, ba – nawet prowadziła biznes do późnych godzin wieczornych (21-22 w nocy). W okolicy znajdowało się kilka sklepów, odrobinę dalej pizzeria i w pobliżu bar z „kebabami” (niestety nieczynny przez dość dużą część trwania imprezy). Na kasie znajdowały się ulotki jednej pizzerii, po jakimś czasie pojawiła się również ulotka innej, gdzie można było nadobyc integracyjną pizzę o średnicy 65 cm, która stała się jedną z największych atrakcji w niedzielne popołudnie. No i niestety – plaża która znajdowała się w bardzo bliskiej odległości, okazała się morderczym dla imprezy fantastyczno-mangowej sąsiedztwem – ucieczki uczestników spowodowały wrażenie pustki na konwencie.

Jednak nie samą zupką chińską człowiek żyje i należy przejść do relacji z atrakcji konwentowych. Siłą rzeczy zajmę się sekcją mangi i anime, z małymi odchyleniami w kierunku innych części konwentu. Fani mangi mieli do dyspozycji Content Room, czyli główną panelówkę, Varia Room, czyli miejsce, gdzie odbywały się bardziej rozrywkowe części programu, również pokój z DDR i innymi gramy muzycznymi, konsolówkę oraz salę projekcyjną. Główną salą dla mangowców był Content Room – doskonale wyposażony, z dobrym komputerem, do którego notorycznie brakowało hasła, rzutnikiem i zbyt małą ilością krzesel. Ale nie sprzęt się liczy, lecz atrakcje, jakie miały tam miejsce. Jeśli już coś się odbyło, to stało na naprawdę dobrym lub choćby przyzwoitym poziomie. Na niektóre konkursy i panele w godzinach wieczornych upychano ludzi kolanem. Niestety, znalezienie ludzi chętnych na te części programu, które nie były lekkie, łatwe i przyjemne, bywało bardzo trudne. Drugi dzień w moim wykonaniu zmienił się w naganianie ludzi do Content Roomu, przekupywanie ich cukierkami, czekoladą, prośbą, groźbą i błaganiami. Drugą salą dla mangowców był Varia Room, gdzie miały miejsce mniej ambitne atrakcje, seria naciąganych konkursów i paneli związanych z porem oraz między innymi konkurs Strong Man, Fast Food i Evil Fast Food, Cosplay, który z braku większej



niż 1 przebranej osoby zmienił się w Evil Cosplay itp. Tam na szczęście nie było żadnego sprzętu, który można byłoby podwędzić, ponieważ sala często była kompletnie pusta.

Pierwszego dnia konwentu z pozoru nie działo się nic, jednak nie zawsze z winy orgów, np. na panel o japońskich ogrodach przyszyły aż 3 osoby. Podejrzewam, że z innymi atrakcjami tego dnia było podobnie. Piątek zapowiadał koszmar na kolejne dni, na szczęście prognozy nie sprawdziły się. Można było odnieść takie wrażenie, ponieważ obiecanych konsol nie było, ludzi na terenie jak na lekarstwo (według danych z Gildii przez wszystkie dni konwentu przewinęło się ok. 350 uczestników). DDR i Singstar co prawda były rozstawione, ale było to zrobione fatalnie (chyba nawet gorzej niż na PierniCONie). Otóż DDRem zawiadnęła pewna osoba, która stwierdziła, że idealnym rozwiązaniem dla tej integracyjnej w końcu gry jest wstawienie jej w kąt, po to aby mogła opierając się rękoma o parapet skakać najtrudniejsze kawałki. Mata była tylko jedna i tylko jedna osoba przez większość czasu skakała na niej, nie dopuszczając do niej innych uczestników. Obserwacje zaś prowadziły mogły zaledwie 3 osoby i niestety zabrakło miejsca dla nich, by mogły poćwiczyć sobie „na sucho”, czyli bez maty. Całe szczęście, że następnego dnia stał się cud i w miejsce jednej szmacianej maty w kącie sali, pojawiły się 2 twarde maty ustawione inaczej, ba nawet z ławeczką dla obserwatorów. Pojawiły się również konsole, Singstar i Eye Toy. Drugi dzień w moim odczuciu był najciekawszy. Odbyły się chyba wszystkie atrakcje, a nawet te, które ktoś zapomniał w plan wpisać. Ten dzień był dniem wydawnictwa Waneko, przy stoisku (jednym z łącznie 3 na konwencie) zawsze znajdowała się gromadka prowadząca non stop ciekawe rozmowy, miał miejsce panel o „Cat Shit One” i „Hiroshimie”, gdzie można było otrzymać nagrody w mini konkursie o tych mangach, oraz bardzo sympatyczna konferencja, z której uczestnicy nie chcieli wypuścić Pań Watanuki i Taniguchi. Tradycyjnie miała miejsce 50-ka (z bardzo ładną planszą do gry i fenomenalnym wystąpieniem Bzyka, Sivego i Hariego z openingiem do anime „Pokemon”), Fast Food, Wiedźwotka, Test Your Body, Konkurs Fandomowy itp. Najciekawszym elementem tego dnia był chyba konkurs hentaiowy, który przyciągnął wielu uczestników i pozwalał bawić się wielu osobom, nie tylko uczestnikom. Jednym z zadań było np. zagranie w grę hentai na czas; zachowanie gracza obserwowali wszyscy, ponieważ w sali tej znajdował się rzutnik. Była to najgłośniejsza rzecz w sobotę. W części sekcji publicystycznej tego dnia znalazł się również kącik dla mangowców, Grzybek prowadził bardzo ciekawą prelekcję na temat sposobów na zaktywizowanie klubów mangi i anime. Jednak z powodu kończącego się w tym czasie konkursu prelekcja opóźniła się dość mocno (czekano na spóźnialskich uczestników). Wieczór tego dnia i noc była gorąca od konwentowych atrakcji, dzięki czemu pisząca tą recenzję cały następny przespala



z małą przerwą na Evil Fast Food, który prowadziła. Konkurs wyszedł moim skromnym zdaniem słabo, ponieważ publika nie dopisała i uczestnicy nie mogli liczyć na doping. Poza tym za bardzo się nad biedakami znęcałam – przepraszam zatem. Do programu w ciągu soboty i niedzieli dołączyło parę atrakcji, które nie zostały wpisane w informator; do ciekawszych należał mecz piłki nożnej, konkurs Yasia na rozpoznawanie muzyki z anime, konkurs wiedzy by Hari i parę innych. Tradycyjnie Yen obkleił całą szkołę swoimi zabawnymi rysunkami i piwo mu za to. Ogólnie rzecz biorąc konwent dogorywał przez zbyt małą frekwencję – im większa ona jest, tym bardziej starają się organizatorzy. Fani mangi nie powinni narzekać, ci źli i straszni fantaści zazdrościli tak rozbudowanego planu w części mangowej – ba, czasem nawet cichcem przemýkali na atrakcje rodem z Japonii.

Z pozostałych części Teleportu najlepiej przygotowana była moim zdaniem sala „komputerowa” – czyli miejsce, gdzie prezentowano nowe gry na PC i konsole, trwały konkursy (na rozpoznawanie screenów z gier, wiedzowy o grach, kalambury growe, które wygrała ekipa mangowców, ponieważ zadeklarowani fani i fani gier odpadli w pierwszych rundach) oraz prelekcje, m.in. o „World of Warcraft”. Sala była wyposażona w konsolę X-box, komputer z dostępem do internetu, rzutnik i prowadzących, którzy non stop zabawiali każdego, kto wszedł do sali. Można było między innymi obejrzeć reportaży z targów E3 oraz obejrzeć film stworzony z animacji z gry „World of Warcraft”. Kolejnym miejscem, które przysłało mnie na dłuższą chwilę, była sala filmowa, której nagłośnienie, zaciemnienie i jakość obrazu pozwalały poczuć się jak w prawdziwym kinie, a nie w pomieszczeniu zaadaptowanym przy pomocy kartonów i czegoś popadnie na miejsce projekcji na malutkim konwencie w ubogim kraju „na północ od Karpat”.

Na co można by ponarzekać? Na to, że niektóre atrakcje niestety się nie odbyły, a niektóre miały przesunięcia. Na to, że niektóre konkursy były skierowane do pewnej określonej i dosyć zamkniętej grupy ludzi – i wręcz zostały zrobione na „jedno kopyto” (chodzi mi tu o niemal 6 godzin jednego konkursu w kilku odsłonach w sobotę wieczorem: hentajowej, fandomowej i Test Your Body, Test Your Mind, które za hasła przewodnie uznały: bukake, yaoi, zoltana, pora i ksywki znajomych, sex i penis). Czy nie można było zrobić tego inaczej? Otworzyć się trochę na tych, którzy nie mają pojęcia, kim jest Zoltan i dlaczego wszyscy machają porem? Nie dziwnym się potem, że liczba uczestników na konwentach maleje – wystarczy nieobecność na jednym i wypadają z obiegu i już nie są „dżezi”. Fandom nam się zamotał, jak słusznie zauważył naczelny satyryk Yen. Ale były też imprezy zrzeszające wszystkich, nie tylko dobrych znajomych. Taką rzeczą, którą można zaliczyć do ciekawostek była fanowska inicjatywa oddolna – mecz piłki nożnej zapowiedziany w sobotę wieczorem na niedzielne popołudnie. Swoje drużyny mieli wystawić fani i mangowcy, jednak ci pierwsi oddali mecz walkowerem. Ale dzięki samozaparciu uczestników mecz się odbył, po prostu do jednej z drużyn dołączyło 3 tubylców w wieku ok. 10-11 lat.

Co można powiedzieć, podsumowując tegoroczny Teleport? Podobało mi się, chociaż nie obyło się bez zgrzytów, np. jakiś buc pozrywał wszystkie plakaty reklamujące kolejny PierniCON, atrakcje były przesuwane, niektóre się nie odbywały. Było kilka osób niezadowolonych, znudzonych i rozżalonych. Jednak takie są chyba te konwenty i należy się do tego przyzwyczaić oraz liczyć się z tego typu reakcjami. Nie są nastawione na pogłębianie wiedzy i delikatną rozrywkę, lecz na integrację. Jednak jest pewien szkopuł, towarzystwo, które jeździ na Teleporty, polubiło się i zsolidaryzowało już bardzo dawno temu, reszta może jedynie orbitować wokół nich. Prowadzi to też do sytuacji, w której hasło konwentowe „100 procent bez alkoholu” pozostało tylko hasłem. Ogólnie konwent oceniam na 4 z minusem, czyli – jak na polską skalę jest dość wysoko. I niech się wstydy ten, kto myśli źle o Teleporcie 2006.



Polcon'06

Tegoroczny Polcon odbył się w dniach 24-27 sierpnia w Lublinie, organizowany przez LKF „Syriusz” oraz stowarzyszenie „Cytadela Syriusza”. Na potrzeby konwentu przeznaczono budynek gimnazjum oraz dużą aulę umiejscowioną po sąsiedzku domu kultury. Ci, którzy nie chcieli odbywać wojaży do oddalonych o dobre kilkanaście minut spaceru akademików, tudzież nie było ich stać na taki nocleg – mogli skorzystać z darmowych sal zbiorowych w szkole. Być może dzięki temu, a także dzięki wyjątkowo niskiej akredytacji (40 złotych) na konwencie pojawiło się ponad 800 osób, najwięcej w tym tysiącleciu. Pokazuje to, nawiasem mówiąc, że organizowanie dzisiaj konwentu bez darmowych noclegów w sali zbiorowej oznacza strzelanie gola do własnej bramki, a windowanie cen akredytacji nie jest jedynym



środkiem zwiększania wpływów w konwentowym budżecie. Dzięki wskazanej dbałości o kieszenie uczestników z jednej strony widać było, że impreza „żyje”, a spotkania wzbudzają znaczne zainteresowanie (nie widziałem takiej prelekcji, na której nie byłoby co najmniej dwudziestu osób); z drugiej zaś lokalizacja szkolna, z typowymi dla publicznej placówki urokami w rodzaju obskurnych łaźni, sprawiała, że brakowało mi trochę atmosfery dorocznego święta fantastyki. Lubelski Polcon zrobił na mnie wrażenie imprezy klasy Pyrkonu czy Falconu: dobrej, solidnej, ale jak na Polcon – bez fajerwerków. Atmosferę święta literackiego wyczuć można było właściwie tylko przez godzinę ceremonii rozdania „Zajdli”, w zapelnionej do ostatniego miejsca, ogromnej auli Akademickiego Centrum Kultury.

Być może zawiniło to, że uczestnicy odbywać musieli wędrówki między szkołą, domem kultury, akademikami oraz knajpami konwentowymi i połowy z tych kilkuset osób po prostu nie było widać. A może atmosfery brakowało mi z powodu mojego poczucia literackiego obowiązku, które kazało mi nieraz doczytywać opowiadania nominowane do „Zajdla” (przy okazji, wielkie słowa uznania należą się Szamanowi za uzyskanie dotacji na druk bezpłatnej antologii dla uczestników Polconu) niż słuchać kolejnej prelekcji. Zatrzymywałam mnie też obowiązki służbowe, jak zbieranie akredytacji na Nordcon, tudzież przedstawianie gdańskiej kandydatury do organizacji Polconu 2008 (przypadliśmy z kretesem: konwent wróci za dwa lata do Zielonej Góry). W sumie jednak

nie można przesadnie marudzić, bowiem program był bardzo rozbudowany: spotkania odbywały się jednocześnie w sześciu salach (dwóch przeznaczonych na program publicystyczny, dwóch na RPG-owy, jednej „mieszanej” i jednej konkursowej), obok gości krajowych przybyli także zagraniczni (Miroslav Žamboch oraz Marina i Siergiej Diaczenkowie), a chętni mogli wziąć udział także w nietypowych atrakcjach, jak warsztaty charakteryzacji (o których skwapliwie przypomniała uczestnikom organizatorka pełniąca funkcję megafonu – wspaniała i oszczędny patent!), lub obejrzeć nowe przedstawienie Grupy Metatrona pod wodzą Jakuba Ćwieka. Jako hity konwentowe wymieniałbym spotkanie ze Staszkiem Mąderkiem (po którym liczni nadzwyczaj uczestnicy wiedzą już, na czym najlepiej regulować ostrość kamery), tudzież z państwem Diaczenko (tj. gośćmi doskonałymi, którzy sami prowadzili swoje spotkanie, opowiadając o swoich książkach, projekcie realizowanym wspólnie z piosenkarką Ruslaną oraz o kwestiach narodowościowych na Ukrainie). Najważniejsze były jednak, rzecz jasna, „Zajdle” i sukces Jarosława Grzędowicza, który po raz pierwszy w historii Nagrody zgarnął obie statuetki w jednym roku. Następnego dnia spotkanie z laureatem



znów przyciągnęło tłumy, nie mogące się pomieścić w niezbyt rozciągliwej sali lekcyjnej. Szkoda, że Jeremiasz tak późno zabrał się za pisanie.

W porównaniu do planów warszawskich, przedstawionych przez Szamana, wszelkie blaski Lublina (podobnie zresztą, jak i 90 procent innych polskich konwentów, nie wyłączając Polconów) wyglądały odrobinę blado. Jeśli Warszawiakom wyjdzie wszystko tak, jak sobie wymarzyli (a wszystko na to wskazuje: mają już sponsora generalnego – telewizję AXN Sci-Fi oraz kilku zagranicznych gości, i chyba rzeczywiście mają szansę na szumnie zapowiadane dwa tysiące uczestników), to przyćmią wszystkie dotychczasowe Polcony, a kolejnym organizatorom ustawią poprzeczkę na niebotycznym, trudnym do osiągnięcia poziomie. Tym niemniej

Lublinianom udało się zorganizować dobrą, solidną imprezę, na której nie można było się nudzić. Z kwestii organizacyjnych podobała mi się powaga, z jaką traktowano hasło „100% bez alkoholu” (któregoś razu zostałem dwukrotnie w odstępie kilku minut poproszony o pokazanie zawartości plecaka – ponieważ po pierwszej kontroli wyszedłem z budynku na 30 sekund), a darmowej kawy w green roomie (dla każdego, kto o to poprosił) nie zapomnę nigdy. W sumie z Lublina wyjeżdżałem z poczuciem, że zdecydowanie warto było tłuc się pociągami przez pół Polski, a każdym konwentowym organizatorom życzę takiego co najmniej poziomu imprezy, jaki udało się tam osiągnąć.

Michał Szklarski

FANTASTYCZNA UKRAINA (3)

FANTASTYCZNY KRYM (dokończenie)

FANTASTYCZNA GÓRA

Bardzo wczesnym rankiem (Wojtek łomotał do drzwi, a gdzie nie mógł, tam Marcina posłał) ruszyliśmy do Mishoru, do dolnej stacji kolejki linowej na Aj-Petri (1234 m npm). Oczywiście kolejka startowała dopiero o 11:00 (pamiętajcie, że byliśmy tam przed sezonem!). By nie marnować czasu pojechaliśmy do Pałacu Woroncewa (XIX w.). Wspaniały, zadbane park! I wiele żebzących wiewiórek o szarym umaszczeniu. Sam pałac wzorowany jest na Alhambrze (dawna twierdza mauretańskich kalifów, zbudowana w XIII-XV w. koło Grenady, w andaluzyjskim regionie Hiszpanii).

Wjazd kolejką dostarcza mocnych wrażeń – mam na myśli drugi odcinek, gdzie lina biegnie pod kątem 70°. Długość trasy kolejki wynosi 1096 m, a różnica poziomów 833 m. Szepczą sobie w duchu credo techniki radzieckiej: „mniotsja, gniotsja, no nie fiamjotsja”) i zaraz mi lepiej.



to jest wagonik kolejki

Z góry rozciąga się wspaniały widok na duży kawał południowego wybrzeża Krymu.



Na Aj-Petrińskiej Jajle (płaskowyżu szczytowym) zbudowano osadę tatarską z żarciem i wyszynkiem. Można pojeździć na koniu lub wielbłądzie. Można kupić najróżniejsze pamiątki. Zjedliśmy wspaniały, tatarski obiad i kupiliśmy w sumie dobrą beczukę wina (Lidia targowała się o każdą hrywnę).



Dziewczyny (będąc w stanie wskazującym) podczas zjazdu kolejką – zamiast się normalnie bać – cały czas chichotały.

FANTASTYCZNA BAŁAKŁAWA

Po wrażeniach z Aj-Perti, ruszyliśmy w stronę Bałakławy – niedużego portu nad niewielką zatoką o kilometrowej długości. Wylot zatoki do morza ma zaledwie 40 m szerokości. Z jednej strony brzeg zatoki tworzą wysokie skały, a z drugiej – strome wzgórze z twierdzą genueńską Czembelo na szczycie.

Dotąd Bałakława kojarzyła mi się tylko ze słynną szarżą angielskiej Lekkiej Brygady (wojna krymska 1853-56), rozstrzelanej z armat przez Rosjan broniących Sewastopola.

A teraz ujrzałem tę zatokę. W pieśni dziesiątej Odysei opisał ją Homer:

*Znalazły tam wyborną przystań nawy nasze
Skał niebotycznych ściana przystań tę zamyka
i tylko wąskim wniściami okręt się przemyka
Gdzie dwie skały ogromne z dwóch stron w morze wbiegły
Tam zawinęły nawy i przystań zaległy
Jedna tuż obok drugiej linami do lądu [...]*



Do 1996 roku Bałakława była miastem zamkniętym, gdyż pod kilkuset metrową warstwą skał utworzono port, stocznię remontową i arsenał dla flotylli okrętów podwodnych.

Obecnie cały podziemny kompleks stanowi wojennomorską filię Muzeum Morskiego w Kijowie.



BAKCZISERAJ i FANTASTYCZNY SEDEŃKO

Z Bałakławy pojechaliśmy do Bacziseraju – stolicy chanów krymskich. Zacytuję Wojtkę: „Mieścina [...] sprawia przygnębiające wrażenie. Biedne chałupy i blokowiska, pomiędzy którymi snąją się przygaszeni Tatarzy”. Okazało się, że Pałac Chanów jest poza sezonem otwarty tylko w czwartki. Z łaski wpuszczono nas na dziedziniec.

Za to na minitargu przed Pałacem kupiliśmy sobie różne pamiątki – jak widać na zdjęciu obok.



Wracaliśmy do Jałty (na ostatni nocleg na Krymie), poprzez Góry Krymskie. Po drodze zatrzymaliśmy się przy zajeździe (oczywiście nieczynnym), skąd można było spacerkiem przejść do zachwalanego Srebrnego Wodospadu. Na drogowskazie było napisane „900 m”. Przeszliśmy dobre półtora kilometra nim doszliśmy do – pozał się Boże – „wodospadu”: cienkiej strugi sikającej może z 4 metrów.

Wojtek i Piotr z ułańską fantazją zażyli kąpeli w lodowatej wodzie. (Absolutnie zaprzeczam pogłoskom, jakoby była to ich pierwsza kąpiel od czasu wyjazdu z Polski i że zostali do niej zmuszeni!).

Ruszyliśmy dalej. Jeszcze tylko kilkadziesiąt serpentyn w górę i drugie tyle w dół (ciemną już nocą), i nasz busik powrócił do Jałty.



FANTASTYCZNA AMNEZJA

Tradycyjnie wczesnym rankiem (o bliźnierzkiej porze), wyruszyliśmy z Jałty, z zamiarem opuszczenia Krymu i dotarcia do Kamieńca Podolskiego. Na granicy zatrzymał nas milicjant, bo nie stanęliśmy przy znaku stopu. Mandat (całe 17 hrywien, czyli ok. 10 zł) zapłacił Wojtek.

Początkowy plan zakładał, że skrócimy sobie drogę przez Mołdawię, ale Wojtek stwierdził, że to dwie granice dodatkowo i gorsze drogi (jakby mogły być gorsze od

ukraińskich!). Dopiero później skojarzyliśmy sobie, że w rzeczywistości byłyby cztery granice, bo musielibyśmy przejechać w poprzek (całe 15 km) tzw. Republikę Naddniestrzańską.

Po dniu mozolnej jazdy docieramy do Kamieńca Podolskiego. Kwaterujemy w relikwie hotelarstwa radzieckiego o dumnej nazwie „Ukraina”. Syf okrutny! Wanny można by było dotykać tylko w rękawiczkach, a o kąpeli zapomnij! W dodatku na naszym piętrze funkcjonowały pokoje na godziny i na cały korytarz słychać było głośne negocjacje handlowe między kupującymi a sprzedawczyniami (będącymi również towarem).

Wyszliśmy poszukać kolacji. Stare miasto czyściutkie, budynki odnowione i pięknie oświetlone. Trafiliśmy na mały lokalik – już go zamykano, ale dla nas otwierają go ponownie.

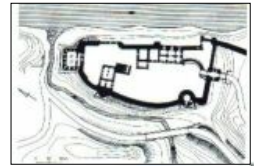
Ponieważ fortecę otwierają dopiero o 9-tej, więc najpierw jedziemy do Chocimia. Wspaniałe zamczysko, położone nad samym Dniestrem. Płacimy za wstęp, ale biletów nie dostajemy (wszak jest przed sezonem!).

Na podzamczu stoi pomnik atamana Sahajdacznego – dowódcy posiłkowych wojsk kozackich w drugiej bitwie chocimskiej. O pierwszej bitwie, o dowódcach polskich nigdzie ani słowa, ani znaku. Tak jakby Podole nigdy nie było Polską, a te kilkaset lat zakryła mgła amnezji. I chodzi tu nie tylko o Chocim. Tak jest wszędzie. No, może z wyjątkiem Lwowa – tam Polski nie sposób zapomnieć!

Powracamy do Kamieńca Podolskiego – „najświetniejszej twierdzy” I Rzeczypospolitej. Kamieniec (tzn. stare miasto) leży w zakolu rzeki Smotrycz, która wyźłobiła stumetrowej głębokości wąwóz, o stromych, kamiennych ścianach.

Twierdza zbudowana została na zwężeniu i „korkuje” dostęp do miasta. Wszystko pięknie odrestaurowane, prócz Nowe Zamku – wysadzonego w czasie oblężenia przez Turków w 1672 roku.

Muzeum w twierdzy jest prawie w całości poświęcone okupacji Kamieńca przez Niemców w latach 1941-43. Jedynie w ostatniej salce wystawiono pamiątki z uczestnictwa kamieńczyków w Pomarańczowej Rewolucji: namiot, transparenty, czajnik, termos itp. Nic o historii twierdzy i miasta! Wszystko zapomniane! Jak z Orwella...



Dokończenie w następnym numerze



NIUSY

„ZAJDLE” WRĘCZONE

26 sierpnia, na Polconie w Lublinie, nastąpiło ogłoszenie wyników głosowania na Nagrodę im. Janusza A. Zajdla za rok 2005. Podwójnym zwycięzcą został Jarosław Grzędowicz, który po raz pierwszy w historii Nagrody zwyciężył w tym samym roku w obu kategoriach: za najlepszą powieść („Pan lodowego ogrodu”, tom I, wyd. Fabryka Słów) oraz opowiadanie („Wilcza zamieć”, z antologii „Deszcze niespokojne”, wyd. Fabryka Słów). Zwycięzcy oraz jego wydawnictwu – serdecznie gratulujemy.



red.

O WIELU TAKICH, CO ZDEGRADOWALI PLUTONA

Decyzją astronomów zebranych w Pradze na spotkaniu Międzynarodowej Unii Astronomicznej (IAU) ustalono nową definicję planety, w myśl której za takową może być uznane takie m.in. ciało, którego orbita nie koliduje z innymi orbitami. Stąd Pluton, którego



orbita przecina się z orbitą Neptuna, utracił status planety i w zamian uznany został za „planetę karłowatą”, do którego to grona zaliczono także kilka innych ciał z Pasa Kuipera, pretendujących do niedawna do miana „pełnej” planety. Niektóre krytyczne

głosy wskazują, że np. orbita Ziemi przecina się z orbitami innych ciał (mianowicie komet), a stąd i Ziemi należałoby odebrać miano planety; a także, że określenie „planeta karłowata” jest sztuczne.

mumin/misz

KOSMICZNI BLIŹNI?

W kwestii kosmitów - Kościół katolicki unikał do tej pory jednoznacznych odpowiedzi. Właśnie dlatego wszystkich zszokowały słowa jezuita ks. José Gabriela Funesa, nowego szefa Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego, który w sobotę dla agencji ANSA powiedział: "Możliwe, że w innych systemach słonecznych rozwinęło się życie. Jeśli gdzieś są istoty pozaziemskie, to trzeba je uznać za naszych braci". Co spowodowało to stanowisko Kościoła? Mówi się, że Specola Vaticana, czyli watykańskie obserwatorium astronomiczne, mogło znaleźć się w posiadaniu dowodów na istnienie życia pozaziemskiego. Od dawna bada bowiem sprawę kosmitów na własną rękę.

Kierowana przez jezuitów Specola Vaticana to jedna z najlepszych i najstarszych astronomicznych instytucji naukowych na świecie. Powołał ją w XVI w. papież Grzegorz XIII, by opracowała reformę kalendarza. Dziś ta elitarna jednostka, której udało się zwerbować do pracy najwybitniejszych naukowców i najtęższe umysły spośród jezuitów, prowadzi badania nad ewolucją galaktyk, poszukuje nowych systemów gwiazdnych oraz planet podobnych do naszej. Ale to tylko jawna część pracy w obserwatoriach w pałacu apostolskim w Castel Gandolfo oraz w Tucson w Arizonie. Nieoficjalnie mówi się, że obserwatorium ma także inne zadanie: szukać "obcych".

wg: www.gazeta.pl

TWORZY SIĘ FANTASYPEDIA

Wszyscy zainteresowani mogą przyczynić się do redagowania internetowej encyklopedii fantasy na stronie: pl.fantasy.wikia.com.

red.

KOLEJNY WARHAMMER W WCK

Ostatni weekend sierpnia upłynął w Wejherowskim Centrum Kultury pod znakiem turnieju o puchar prezydenta miasta.

Jpp

GDZIE NAS(Z)A ZGUBA?

Plotki krążyły już od pewnego czasu, ale dopiero teraz telewizja Skynews potwierdziła tę informację: oryginał taśmy z pierwszym krokiem Neila Armstronga na Srebrnym Globie zniknął! Kasetą zapodziała się gdzieś w olbrzymim archiwum NASA, między setkami innych nagrań.

Od czasu tego historycznego wydarzenia (lipiec 1969 r.) nikt nie wyciągał stamtąd filmu z Armstrongiem. Rzecznik NASA powiedział: Staramy się wysledzić nagranie szukając zmian w zapisach kartoteki archiwum. Ale po 35 latach jest to wyzwanie.

wg: www.gazeta.pl



ODSZEDŁ OJCZYM SUPERMANA

W wieku dziewięćdziesięciu lat zmarł amerykański aktor Glenn Ford (właśc. Gwyllyn Samuel Newton). Znany z wyrazistych ról w klasycznych filmach hollywoodzkich, zarówno obyczajowych ("Gilda"), jak i westernach ("15:10 do Yumy") - w pamięci fantastów i komiksiarzy pozostanie również jako "ziemski" ojciec Supermana z klasycznej adaptacji kinowej.

Jpp

PÓLTORA DEKADY POLSKIEJ SIECI

Mija właśnie 15 lat od momentu nawiązania w Polsce po raz pierwszy łączności w protokole IP: 17 sierpnia 1991 r. Rafał Pietrak, fizyk z Uniwersytetu Warszawskiego, nawiązał łączność w oparciu o protokół IP z Janem Sorensenem z Uniwersytetu w Kopenhadze. Moment ten jest uważany za symboliczną datę narodzin polskiego Internetu.

wg: www.nask.pl

BEN BOVA – KOLEJNY TOM CYKLU

Agencja „Solaris” wydała kolejny – chronologicznie pierwszy – tom ze znanego cyklu „Droga przez Układ Słoneczny”. Przyjrzyjcie się grafice na grzbiecie książki. Kogoś mi ten astronauta przypomina...

kp



CHOCHLIK WEWNĘTRZNY?

W czerwcowo-lipcowym wstępniku, wspominając reżyserską działalność Andrzeja Wajdy z czasów PRL - przypisałem mu, "z rozpędu" chyba, realizację krakowskich "Dziadów" i krakowskiego "Wyzwolenia". Było to jakies dziwne zaćmienie umysłowe: wiem przecież "od zawsze", iż te legendarne spektakle Teatru Starego były dziełem Konrada Swinarskiego.

Ów rażący błąd zauważyłem oczywiście od razu... biorąc do ręki w y d r u k o w a n y "Informator"!

jpp

KOLEJNY NUMER SPECJALNY

„Informator GKF” # 208 był numerem specjalnym (krytycznoliterackim) – poświęconym w całości Stanisławowi Lemowi. Z uwagi na mniejszy nieco nakład, wysyłamy go tylko na specjalne życzenie (pod papierk@o2.pl)

red.

Z okazji dwudziestolecia Pikników Na Skraju Drogi rozpoczynamy druk wspomnień i opracowań dotyczących tej najbardziej elitarnej i tajemniczej imprezy Fandomu Polskiego. Na początek przedstawimy zarys historyczny.

Historia Pikników Na Skraju Drogi

Tak naprawdę wszystko zaczęło się w 1986 r. w Białymstoku. Parę osób w klubie postanowiło zrobić coś innego niż wspólne wyjazdy na konwenty. Wzięliśmy więc namioty i wyjechaliśmy na „Pólko” w niedalekim Supraślu. Oddając się błogiemu lenistwu, miło spędzając czas, stwierdziliśmy, że zbrodnią jest zachowywanie czegoś takiego tylko dla siebie. Dlatego długo nie namyślając się, ustaliliśmy, że w przyszłym roku zorganizujemy taki wspólny wypoczynek dla członków klubów z całej Polski. Jeszcze tego samego roku czterech z nas wybrało się do Augustowa w celu znalezienia miejsca na organizację biwaku w roku 1987. I tak powstał: PIKNIK NA SKRAJU DROGI.

I Piknik Na Skraju Drogi Augustów 25 lipca – 09 sierpnia 1987

Pierwsza impreza odbyła się w pięknych plenerach nad jeziorem Sajno k/Augustowa. Zjechali się przedstawiciele dziewięciu klubów: *Twonk* z Kłodzka, *Astron* z Brzegu, *Arrakis* z Człuchowa, *Stalker* z Olsztyna, *Atlantis* z Dobrego Miasta, *Feniks* z Hajnówki, z Łomży był *Futurum*, no i oczywiście *Taurus* i *Ubik* jako organizatorzy z Białegostoku. Całość odbyła się co



prawda na normalnym polu namiotowym, ale dało się przeżyć. Pogoda była w kratkę, trochę słońca, trochę deszczu. Jak nam nie odpowiadało to maszerowaliśmy na pobliski Lipowiec (taka mała stacja kolejowa) w celach wiadomych. Jak się pewnie domyślicie, znajdował się tam mały bar piwny, a piwo można było w nim dostać z nalewaka. Bawiliśmy się wyśmienicie, to tam wymyśliliśmy nasz słynny do dziś napój piknikowy, popularnie zwany *Gardłogrzmotem*. Wszyscy uczestnicy stwierdzili jedno: znaleźliśmy dobry i przyjemny sposób na integrację wewnątrz – i międzyklubową. Postanowiliśmy zorganizować podobne spotkanie za rok. Podstawowa zasada naszych letnich spotkań miała być taka: poznajemy Polskę, Piknik będzie organizowany co roku w innym miejscu. Następną imprezę podjął się zorganizować Zbignio Piejdak z Dobrego Miasta. Miało mu być łatwiej, bo miał swoje dojeżdża do Gminnego Ośrodka Kultury i paru ówczesnych organizacji młodzieżowych. A „dojeżdża” w tym czasie były o wiele ważniejsze niż pieniądze i formalne dokumenty składane do firm czy instytucji. Termin został dopasowany pod kątem dni wolnych, bo wtedy 22 lipca był świętem narodowym i można było oszczędzić dzięki temu jeden dzień urlopu. Brano również pod uwagę możliwość wygodnego dojazdu, bo o własnych pojazdach wtedy nikt z nas jeszcze nie marzył.

II Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 16 lipca – 25 lipca 1988

...czas – podany

Miejsce – Cerkiewnik k/Dobrego Miasta woj. Olsztyńskie

Jeziro – „Duża Pupla” bardzo czyste

Pogoda – wspaniała (średnia 28 – 30°C)

Warunki – wymarzone...

(wyciąg z księgi pamiątkowej Taurusa)



Zgodnie z zapowiedziami tę imprezę przygotował klub *Atlantis* z pobliskiego Dobrego Miasta i Oddział PSMF z Olsztyna. Biwakowaliśmy „na górze”, używaliśmy zaś tylko jednego jeziora. Zbudowaliśmy mały pomost i kibel. Organizatorzy zapewnili nam „pole wymiotowe”, „kącik abstynenta” (jakoś nie cieszył się popularnością), „wyszalnię seksualną” oraz deskę z żaglem, (ale tylko dla wybranych). Nikt nam nie przeszkadzał, my nikomu też. Po wodę chodziło się na stację, gdzie znajdowała się studnia głębinowa (była bardzo dobra, choć zalatywało żelazem) lub do źródelka z drugiej strony góry. Czasami braliśmy wprost z jeziora. Ognisko paliło się w dole wykopanym pośrodku łąki. Siadywaliśmy: pierwszy szereg na brzegu wykopu, drugi szereg z tyłu na pieńkach ozdobionych kapslami od piwa. Najpopularniejsze piwo – Barkas z browaru Elbląg w oranżadówkach 0.33l z kapsłem. Żarcie szykowało się



w menażkach na ognisku. Zjawilo się więcej osób niż w roku poprzednim. Przybyły nowe kluby, *Żyrafan* z Żyrardowa i *Orbita* z Poznania, z pojedynczych: Bice z małoletnim dzieckiem Mirusiem (już wtedy chciał sprawdzić, co nasza Latoś ma pod biustonoszem) oraz Kaczor. Przebojem okazała się jednak TRATWA. To urządzenie zbite z trzech olbrzymich pni, wyłożone pokładem z desek, udanie służyło jako boisko do siatkówki na wodzie lub do zabaw „w kapitana – kapitan schodził z pokładu pierwszy”. 15 osób usiłowało ją przewrócić na plecy, ale nigdy nie stanęła nawet do pionu. Była niewywracalna. Wieczorem przy ognisku przygrywała nam gitara szarpana przez Marzenę – „Makaronika”, a satelity robili nam zdjęcia z flesztym. Największy aplauz uzyskał „Pikniczny dopalacz” (odmiana gardłogrzmotu), wyprodukowany w pamiętną niedzielę 17 lipca. Przybłąkał się do nas kot, który stał się maskotką imprezy. Ochrzczono go „Demokracja”. Ładnie to brzmiało, szczególnie nad ranem ...„Demokracja” won z namiotu!...Aha, jeszcze jedno, Leśniczego nie było, jeno wdowa po nim a podwórca pilnowały niezbyt przyjazne wilczury. Z konieczności więc dymało się dookoła jeziora do sklepu i z powrotem. Ale jakie fajne były te „powroty”... Czasem udało się wynająć „za przelew” prywatny transport (najczęściej konny – koń Magda). Bogu dzięki, że koń dobrze znał okolicę i samodzielnie potrafił wrócić do domu. Niektórzy z nas zawzięcie próbowali zmylić mu drogę – na szczęście nieskutecznie. Pojawił się drugi samochód – własność Mysi. Wspólnymi siłami dawało się ją wepchnąć pod górę, po stoku o nachyleniu ponad 40°. Stąd też wzięło się pytanie: „ile piw wchodzi do Syrenki”? Odpowiedź brzmiała: „trzysta - ale dwa się tłuą”.

III Piknik Na Skraju Drogi

Cerkiewnik 11 lipca – 22 lipca

1989

W tym roku organizacją imprezy zajmował się wyłącznie *Atlantis* z Dobrego Miasta. Nowością był... leśniczy, który objął w posiadanie ten teren. Przedstawił nam się jako Lzydor Lilas, choć imię miał bardziej swojskie – Maciek. Chyba nas polubił, bo nakarmiliśmy go cukrem. Zapasy tego, co trzeba szybko się wykończyły i nastąpiła Wielka Susza. Kłopoty z nabyciem czegokolwiek (w olsztyńskim Peweksie^x też były puste półki), rozwiązali „Młody” z jednym dużym Żyrafanem przy pomocy noża w ciemnej piwnicy za walutę prawie wymiennalną^{xx}. Życie fandumu toczyło się w dzień w namiotach (bo lato równo), wieczorem zaś na zewnątrz, bo niebo litowało się nad bractwem spragnionym większego towarzystwa. W takim układzie pieśniom nie było końca aż do 6 rano. Bic spoufałał się z owcami, za co baran krzywo na niego patrzył.



^x; ^{xx} – zagadka dla fanów urodzonych po 1980 roku – co to jest Pewex i „waluta prawie wymiennalna”.

Zatańczono Zorbę i byłoby fajnie gdyby nie jakiś namiot po drodze. Rambo z Gdańska zrębał nad ranem połowę opalu „na zapalki” i zasnął przytulony do siekiery, a Sankos z Żyrardowa zdobył statuetkę „Złotego Sępa” głosami elitarnego „Klubu Sępa”. Maskotką Pikniku był pies „Sprawiedliwość” vel „Menel”. (Po zakończeniu imprezy ze smutkiem w oczach wrócił do właściciela). Po raz pierwszy zmierzono różnice w rozkładzie jazdy PKP i rozkładzie lotów kormoranów. Zapadła też decyzja, że wszystkie następne Pikniki będą się odbywać w tym samym miejscu pod nadzorem Dobrego Miasta i Olsztyna. Na zakończenie każdy z uczestników na odchodne



otrzymywał od Zbynia „kontrolnego”, aby organizm nie doznał szoku w czasie podróży. Z ciekawostek: – pewni przybysze z Katowic rozbili namiot w odległości ok. 150 m od nas, aby mieć więcej spokoju. Wytrzymali 18 godzin. – Olczak mierzył się z Niedźwiedziem, – grano w grę terenową „w poszukiwaniu landryny”.– Karol ciągle była głodna i poszukiwała smakołyku: „kanapki z waleniem”.

IV Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 14 lipca – 29 lipca 1990**

Nastąpiła drobna zmiana w lokalizacji namiotowiska. Leśniczy zaproponował nam przeniesienie się z patelni na łące na małą polankę w lasku, który wyrósł na przydomowym warzywniaku. W zamian wymógł na nas przepustkę dla krowy. W związku z tym trzeba było sobie zorganizować obozowisko. Ustalono też maksymalny limit uczestników (dorosłych) na 50 osób. Tego roku było nas mniej z powodu grupowego wyjazdu na Worldcon do Hagi. Olczak został obożnym – wytyczał przejścia i wyznaczał drzewa do wycinki. Pierwszy tydzień lało, a drugi jeszcze bardziej. Wynaleziono nową raketę typu „Bic-Bic”, urządzono wieczór duchów o północy, po którym niektórzy wracający do namiotów czujnie oglądali się za siebie. Pojawił się Maciek – syn Olczaka i wspólnie z Mirusem spuścili manto synom leśniczego w „nogę”. Ktoś wynalazł obozowe „walkie – talkie”, ale szybko przeszedł tylko na odbiór. Na zakończenie leśniczy dostał pamiątkową laurkę z drewna zrobioną własnoręcznie przez Beatę. Piknik ten przejdzie do historii, gdyż jest jedynym, z którego nie ma ani jednego foto, bo negatywy zamokły – są więc śmiałkowicie twierdzący, że w roku 1990 Pikniku nie było. Na pohybel im!

V Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 22 lipca – 03 sierpnia 1991**



Kormoran po raz pierwszy przywiózł „całą” rodzinę. Zresztą tych po raz pierwszy było więcej, czyli: 1) cała rodzina Gwoździ, 2) Żyrafan był organizatorem Pikniku, co zaowocowało wieczorem klubowym przy ognisku, 3) palił się spirytus i o. m. c. namiot. Pojawił się też po raz pierwszy Papier. Pogoda dopisywała, tylko Arni wieczorem swoimi śpiewami wybudzał ponad północnego Teksika ze snu. Tylko cudem dzisiaj widzi. Papier wybudował nową tratwę, bo stara już się zużyła, skonstruował też „trimaran”, który został nazwany „Czerwony Papiernik”. Niestety jego żywot był krótki. Wywrócił się niedaleko brzegu podczas dziewiczego rejsu mocząc załogę i ich wyposażenie. Efektownie wyglądała girlanda suszących się zegarków. Wybudował też schody nad małą Puplą (przy nich „Stairway to Heaven” to licha drabina). Nazwaliśmy je „Schody Komandorskie”. Kiedy ten Papier odpoczywa???



KOSZMAR

Tomasz Bochiński

Sen o Złotym Cesarstwie

Warszawa 1991

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza



Sen o Złotym Cesarstwie Tomasza Bochińskiego, dziś (czemu trudno się zresztą dziwić) zapomniana powieść *fantasy* to doskonały przykład na zjawisko znamienne dla przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Wówczas to po raz pierwszy po wojnie czytelnik miał szansę zapoznać się z zachodnią fantastyką w ilościach przekraczającej wręcz jego możliwości — zarówno finansowe, jak i fizyczne. Ileż bowiem można książek przeczytać w ciągu miesiąca, pozostając uważnym i krytycznym odbiorcą? I do ilu warto powrócić? Tymczasem ówczesny potop *paper-backów* nie tylko uniemożliwiał śledzenie na bieżąco tego, co wydawano, lecz również wpływał na rodzimą twórczość. Polscy autorzy, którzy poczuli się zagrożeni lawinowo wręcz wzrastającą liczbą przekładów, obierali dwie strategię: albo publikowali (jak Andrzej Ziemiański, który — jako autor *Przesiadki w przedpieklu* — stał się Patrickiem Shoughnessy) pod zachodnio brzmiącym pseudonimem, albo też dostosowywali swą twórczość do poziomu wyznaczonego przez pogrobowców Roberta Howarda. Tak też uczynił Tomasz Bochiński w rzeczonyj powieści.

Autor ten debiutował w konwencji *fantasy* jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy to opublikował wraz Tomaszem Bąkiem tomik *Królowa Alimor*. Rzec była tyleż krótka, co interesująca. Zwracało uwagę zwłaszcza połączenie elementów poetyki *fantasy* z fantastyką naukową, gra czytelniczym odczytaniem i interpretacją zdarzeń. Jako autor *Snu o Złotym Cesarstwie* Bochiński już takich ambicji nie miał. Całość jest banalną wręcz opowiadką sięgającą po amerykański mit „z pucybuta milionerem” (w tym przypadku można byłoby strawestować go jako „z sieroty władcą”). Aby dodać powagi swej powieści, autor sięgnął w motcie do *Eddy poetyckiej*, wzorując swych bohaterów na współczesnym wyobrażeniu nacji zamieszkujących północno-zachód średniowiecznej Europy. Jednocześnie przydał im imiona brzmiące niekiedy jak zbitki przypadkowych głosek, co w zamierzeniu miało zapewne oddawać egzotykę opowieści (L' Gardin, L' Arlin, L' Azin, Agnar). Co znamienne dla twórczości nie mającej ambicji większych niż bawić czytelnika — przywoływane stereotypy nie zostają reinterpretowane. Są wartością samodzielną, podobnie jak ukazywane zdarzenia.

Fabula ogranicza się do powielania stereotypów o proveniencji baśniowo-mitologicznej. Oto mamy bowiem i klątwę czarownicy, nieopatrznie spalonej na stosie, i przepowiedziane przez nią narodziny dziecka, porzucenie go, przepowiednię, która (oczywiście) się spełni, wreszcie dochodzenie *outsidera* do własnej tożsamości. Wszystko to zaś napisane zostało językiem zaledwie poprawnym, nie oddającym jednak osobliwości ani poszczególnych stanów społecznych, ani narodowości. Również rozwiązanie perypetii fabularnych, a raczej ich brak, sugerujący konieczność ciągu dalszego i otwierający drogę do stworzenia cyklu, jest równie stereotypowy i wzorowany na zachodniej *fantasy* niskich lotów (np. serii o przygodach Conana, która osiągnęła około setki tomów). Czytelnikom zostało jednak oszczędzone prezentowanie dalszych losów podboju tytułowego cesarstwa, podobnie jak awantury, w których główny bohater, Agnar, bierze udział po drugiej stronie Muru Yng'Radden. Może to i lepiej, zważywszy, że każdy *sen*, również *koszmar*, kończy się wraz z przebudzeniem?

Adam Mazurkiewicz

P.S. Powieść wzbogacają grafiki autorstwa Grzegorza Komorowskiego. Mimo iż reproduktowane w dość marnej jakości, są najwartościowszym elementem powieści.

NADMIAR WOJENNEJ „FANTASTYKI” – TYLE ŻE NIE TAKIEJ, JAK TRZEBA...

Ostatnio rozpętał się dyskurs na temat obrazu wojny w popularnych serialach z czasów PRL. A w wyniku tegoż dyskursu – J-23 i załoga „Rudego” (Kurasiowi chyba się upieczą) wylecą prawdopodobnie ostatecznie z ramówki TVP (do kupna praw przymierza się TVN). Nie mam tu zamiaru ani bronić, ani atakować owych ikon i owych decyzji. Nasuwa mi się tylko kilka skojarzeń. Zdaję sobie sprawę z konwencji literackiej i z różnicy między światem rzeczywistym a wykreowanym. Ale zdaję sobie też sprawę z tego, iż poprzez wybór wątków w utworach popularnych – można manipulować zbiorową podświadomością (np. kręcimy seriale głównie o walce z Krzyżakami i Prusakami albo głównie o powstaniu listopadowym i styczniowym).

Nie będę tu też analizował obrazu II wojny światowej w filmowych utworach wysokoartystycznych (np. „szkoła polska”). Skupię się na trzech popularnych serialach telewizyjnych.

Czterej pancerni i pies. Opowieść utrzymana w konwencji żołnierskiej ballady. Szczególnie pierwsza seria, dość realistyczna i mało „efekciarska” (w drugiej i trzeciej, prawem eskalacji wrażeń, zaczęły się dziać różne „fajerwerki”). Jako opowiadana widzowi historia – majstersztyk po prostu: wciągająca fabuła, wyraziste postacie,



urzekający klimat. Skłamałbym, gdybym napisał, że nie śledziłem przygód załogi „Rudego” w wypiekami na twarzy; pamiętam zresztą z dzieciństwa pierwszą emisję pierwszego odcinka. Odpierałbym też zarzut, iż ukazuje on wojnę jako „fajną przygodę” – nie jest to oczywiście (bo nie może być!) naturalizm w stylu „Żelaznego krzyża” Peckinpaha, ale w „Pancernych” ukazane są frontowe dramaty (oczywiście w konwencji przyswajalnej przez młodego widza). Z dzisiejszej perspektywy widać jednak coś innego: totalnie bajkowe,

pod względem historycznym, tło całej opowieści. Janek biegający po Syberii z flintą, żołnierze przyszłej I Armii zjeżdżający się swobodnie do punktu zbornego ze wszystkich zakątków ZSRR, brak enkawudystów na drugiej linii i objawów zdziczenia zwycięzców w zdobywanych miastach, rosyjski saper ratujący z narażeniem życia zabytkowe niemieckie miasteczko. Dziś wiemy przecież już oficjalnie, w jaki sposób i na jakich warunkach Polacy na owej Syberii się znaleźli oraz jak wyglądała ich droga do późniejszej armii, jakże złowrogą rolę odgrywała formacja w czapkach z niebieskimi otokami, jakąż orgię zniszczenia zgotowali Rosjanie „poniemieckim” miastom szeroko pojętego Pomorza... I wcale nie twierdzę, że wśród rosyjskich oficerów i żołnierzy nie było porządných ludzi! Byli, i to wielu (często też zresztą wypuszczonych dopiero co z łagrów); jednak swoistą „demagogią” przekazu artystycznego jest to, iż ukazane w nim zjawiska jednostkowe przyjmujemy podświadomie jako ogólną normę.

Stawka większa niż życie. Też pamiętam z dzieciństwa pierwszą emisję pierwszego odcinka (a przez mgłę nawet jakieś fragmenty wcześniejszego teatru telewizyjnego). Tu sprawa jest prostsza. To po prostu – świetna opowieść sensacyjna. Przynależność głównego bohatera (czy pracuje on dla Moskwy czy dla Londynu) nie jest istotna: ważne, że jest „nasz”, „dobry” – i walczy z „nimi”, „złymi” (podobna fabuła mogłaby nawiązywać do dowolnych wydarzeń historycznych; II wojna była po prostu „najbliższą”). Aż szkoda, że nie zrealizowano wszystkich zaplanowanych odcinków (część scenariuszy wykorzystano potem w cyklu komiksów) – był to nasz autentyczny eksportowy przebój (np. ulice Szwecji ponoć pustoszały w czasie ich emisji przygód Klossa!). Można mieć oczywiście różne historyczne uwagi, jak i przy „Pancernych” (np. pada zdanie o „ideologicznej” zapewne, niemożności skontak-



towania się z łączniczką AK!), jednak z dzisiejszego punktu widzenia ten szpiegowski serial wydaje się jednak „strawniejszy” (dzięki dalej idącej umowności całych tych perypetii?). Jakis czas temu zresztą krążył pomysł nakręcenia kinowej wersji „Stawki” (chyba z Żebrowskim jako Klossem i z Lindą jako Brunnerem). Nic z tego jakoś nie wyszło; może i lepiej – większość klasycznych seriali uwspółcześnionych kinowo okazało się w Stanach i w Europie „niewypałami” („Święty”, „Rewolwer i melonik”, „Belfegor” – udał się chyba tylko „Ścigany”). Jeszcze à propos – słowa „Brunner, ty świniol!” nie zabrzmiały nigdy w serialu, ale jednak padły one ze srebrnego ekranu: podczas polskiego show satyrycznego zespołu muzycznego Tropicale Thaiti Granda Banda.

Polskie drogi. Serial o dekadę późniejszy, z innej półki. Jednak przywołam go także, jako przypadek nader interesujący. Jego główną ambicją było pokazanie okupacji hitlerowskiej realistycznie, całkowicie w tonacji serio. I udało się to osiągnąć, znakomicie. Z wielu scen wieje autentycznością, bynajmniej nie sensacyjną, groza: weźmy chociażby układanie podartego zdjęcia u fotografa! Dochodzi do tego, jako constans właściwie, wiele znakomitych kreacji aktorskich. A jednak... W pewnym momencie coś w tym serialu zaczęło „pękać”. Już podczas pierwszej emisji nawet ja, licealista wtedy, poczułem narastającą irytację. Pierwsze odcinki – oglądałem z zapartym tchem, hipnotycznie niemal. Ostatnie – mocno zdystansowany, z „obowiązku” poznania wszystkich wątków do końca. Co się stało? Ano – ujawnił się drugi cel tego serialu: „wmatrycowanie” w podświadomość zafascynowanego widza, iż wszystkie polskie drogi prowadzą i prowadzić powinny do... Moskwy. Czy taka była konstrukcja scenariusza od początku, czy był to wynik nacisków z góry (epoka telewizji Macieja Szczepańskiego) – pozostaje faktem, że propagandowa nachalność kolejnych odcinków stała się nieznośna. Rozumiem, iż wtedy nie można było powiedzieć publicznie o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o 17 września, o Katyniu (ani o... przedwojennej hekatombie Komunistycznej Partii Polski dokonanej przez Stalina), ale coraz mocniejsze „wtręty” ukazujące Armię Krajową jako grupkę zakompleksionych obsesjonatów czy sugerujące, iż jedyną sprawiedliwą Polską może być tylko państwo związane z Moskwą – stały się dla widza (zmęczonego wszechogarniającą „propagandą sukcesu”) kolejną niestrawną „mową-trawą”. Tej nieszczerzej nuty nie zagłuszyły nawet takie historyczne epizody, jak masakra



w Wawrze, egzekucja w Palmirach, aresztowanie Grota-Roweckiego... Pisałem kiedyś, iż odrzucamy lubiany nawet serial, gdy zorientujemy się, iż zmiany scenariuszowe podyktowało nie natchnienie twórcze, ale osobiste problemy aktorów; jak widać – szyta grubymi nićmi propaganda wywołuje tę samą reakcję. Szkoda, bo ów serial mógł być naprawdę wielki! I nie trzeba było wcale poruszać niebezpiecznych tematów (w kinowym „Gdziekolwiek jesteś, Panie Prezydencie” przy dacie 18 września pada, o ile pamiętam, enigmatyczne zdanie: „Panowie, sytuacja na frontach zmieniła się na tyle, że musimy zmodyfikować doktrynę obrony”). Odrutką na niesmak po ostatnich odcinkach „Polskich dróg” – stała się dla mnie, przecież też w PRL nakręcona, kinowa „Akcja pod Arsenalem” (pierwszy chyba film pokazujący Polskę Podziemną z pełnym szacunkiem, bez żadnego „smrodku dydaktycznego”).

Wspomniane powyżej seriale nie są jedynymi w historii przykładami sprawnego artystycznie manipulowania historią. Nieprawdziwy obraz wydarzeń nie odbiera „Wielkiemu Październikowi” Eisensteina jego walorów artystycznych; zaś radzieckie kino wojenne było wręcz swoistym „gatunkiem” filmowym, autentycznie poruszającym – acz też niewiele mającym wspólnego z rzeczywistością (np. bohater „Opowieści o prawdziwym człowieku”, jako były jeńiec wojenny, natychmiast wylądowałby w łagrze – tu więcej racji miał Sołżenicyn niż Szołochow!).

Zamiast więc śledzić filmy i seriale bezkrytycznie albo się na nie oburzać – lepiej pamiętać o tych wszystkich uwarunkowaniach. I o tym, że oglądamy fikcyjną historię...

Jan Plata-Przechlewski

muzyka = fantastyka = fantazja

ZRÓB TO SAM, CZYLI – JAK ZROBIĆ KUKUŁKĘ



Wśród symfonii Beethovena – jest jedna zasługująca na baczniejszą uwagę. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie chcę przez to powiedzieć, że spośród dziewięciu symfonii wielkiego Ludwiga tylko jedna jest cool, a reszta do bani! Takich żartów czynić nam się nie godzi, pragnę jedynie zwrócić na nią uwagę z czysto badawczych pobudek; ze względu, rzecz jasna, na fakt zaistnienia pierwiastków fantastycznych w świecie dźwięków. A jest to dzieło pod tym względem wyjątkowo uprzywilejowane. Przy tym, wbrew pozorom, nie myślę ani o Piątej, ani o Dziewiątej, tylko o... Szóstej.

Wprawdzie upalne w tym roku lato nieodwracalnie rozmywa się w deszczach i porannych mgiełkach, dni niepostrzeżenie kurczą się, ustępując miejsca nocom, wilgotnym i coraz chłodniejszym. W mieście tak wyraźnie tego się nie czuje, trzeba dopiero wyjechać w tzw. „plener”, na wieś – i pobyć czas jakiś pośród pól i lasów, rozkoszować się zapachem łąk i śpiewem ptaków (choć te, zajęte przygotowaniem do odlotu, mniej mają teraz czasu na trele). Kapitalne to klimaty: cisza, spokój i odpoczynek.



Czy jednak koniecznie trzeba w tę sielankę mieszać Beethovena? – zapyta ktoś zaniepokojony. A czemu by nie? – odpowiem na to w formie pytania. Jest to nawet wskazane, albowiem, wspomnianą przeze mnie, Szóstą symfonię kompozytor obdarzył wyjątkową, jak na niego, dawką uczuć pozytywnych. Zalecane przez lekarzy zmiany klimatu, wyjazdy w poszukiwaniu ciszy, mającej przynieść ukojenie choremu narządowi słuchu, zamieniły się z czasem w prawdziwą manię, koniec końców doprowadzając do przeprowadzki Beethovena na prowincję, do Heiligenstadt pod Wiedniem. Zanim to jednak nastąpiło – rok w rok niecierpliwie czekał aż znikną śniegi, wyschną błota i będzie można wreszcie opuścić zniechęczone miasto. „Radością niepojętą napawa mnie możliwość wędrówek przez lasy, krzewy, zarośla, skały i pola. Nikt nie kocha wsi tak, jak ja”. Nie tylko zresztą wieś ukochał i świetnie się tam czuł; szczególną estymą obdarzył także, jak na Artystę przystało, muzykę ludową, której tropy, echa i cytaty odnaleźć można w większości dzieł Mistrza. I temu właśnie uczuciu, tej radości, postanowił dać wyraz w kolejnym dziele, pracując nad nim równoległe ze słynną Piątą (1808 r.).

Szósta jest dziełem może nie tak znanym, jak jej wielka poprzedniczka, jest to jednak dzieło równie nowatorskie, a już na pewno nieporównanie bardziej fantastyczne. Otrzymała ona nawet, podobnie jak w przypadku Trzeciej, własny tytuł – Pastoralna. Pastoralna, czyli wiejska, ludowa. Mało tego, novum dzieła stanowi jego zwiększona objętość: utwór składa się z pięciu (a nie jak dotychczas z trzech, w porywach do czterech) części, przełamując tym samym sztywne szablony sonatowe, na których symfonie zwykły być konstruowane. Mistrz zwykł ignorować wszelkie szablony, wsłuchany wyłącznie w głos serca, podążał za instynktem, stawiając Sztukę ponad schematami. Jakby tego nie dość – każda z części, poza zwykłym, włoskim nazewnictwem, określającym tempo i sposób interpretacji, otrzymała dodatkowy, opisowy tytuł. I to było naprawdę posunięcie na miarę Mistrza. To nic, że długo się wahał, wykreślał je, to znów powtórnie umieszczał; ostatecznie jednak pozostawił i tego

się trzymajmy. Dzięki temu _ Szósta jest pierwszym dziełem programowym, wpisującym w ideę kompozycji muzycznej kontekst pozamuzyczny.

I tak oto dotknęliśmy sedna sprawy. Choć muzykolog niezależnie tego bez trudu odnajdzie wszelkie ludowo-przyrodnicze konotacje, które czytelne są już w samej warstwie muzycznej dzieła bądź wyłapie cytaty z folkloru, których w Szóstej nie brak. Jednak dla mnie i, jak sądzę, dla większości słuchaczy, prawdziwą frajdę i pokusę wyszukiwania odniesień stanowią właśnie wspomniane opisy. Warstwa muzyczna jest tak klarowna, a idea na tyle czytelnie wyeksponowana, że nie trzeba być wielkim znawcą, by dostrzec, że oto mamy zaszczyt słuchać najpogodniejszego dzieła Maestra, które pozwala nam zrozumieć, czym była dla niego ucieczka w świat idealny, wymarzony i jedynie akceptowany. Tyle tu światła, tyle swobody, tyle pogody! Nie tylko tej związanej z siłami natury, ale i pogody ducha. Nawet wtedy, gdy jesteśmy świadkami nadejścia gwałtownej burzy – najprawdziwszej, choć opisanej dźwiękami, a tak jednak sugestywnej, takiej z piorunami i wyciem wichru, pod którego naporem uginają się drzewa – to i tak czujemy w tym nieokreślone dobrodziejstwo natury, że serce nam rośnie. Tak cudownie pogodną muzykę wyczarował dla nas, a przede wszystkim chyba dla samego siebie, ów „mruk” i wiecznie zamknięty w sobie odludek.



Lubię słuchać, jak Szósta się zaczyna. Otwierającą część opisał Mistrz jako „Obudzenie się pogodnych uczuć po przybyciu na wieś”. To działa! Tajemnicą talentu Beethovena niech pozostanie, jak on to zrobił – w każdym razie lekko, żywo i pogodnie wchodzi temat przewodni pierwszej części, wysnuty ponoć z chorwackiej piosenki dziecięcej. Lekkość, z jaką orkiestra prowadzi ów motyw, stanowi już od pierwszych taktów ekspozycję nastroju. Wyobraźnia natychmiast zaczyna pracować, podpowiada wręcz całe obrazy, uparcie przywołuje na myśl otwartą przestrzeń, powietrze, jakąś piaszczystą polną drogę, po której rażno toczy się powóz. W oddali, na linii horyzontu, ściana smukłych topoli, jakieś chaty. Brakuje tylko psa, który ujadając i gryząc osie, stara się naiwnie przepłoszyć intruza. Wyimaginowany powóz sunie przed moimi oczami w takt rytmicznie płasjącego motywu. Tak wygląda mój prywatny landszafcik malowany muzyką. Każdy słuchający pewnie będzie miał własne skojarzenia, lecz jedno jest pewne: dopóki Szósta gra, magia tworzenia obrazów będzie działać.

A już za chwilę muzyka wykrzesze z pamięci cudowne obrazy sielskiej atmosfery wakacji, gorącego lata. Oto „Scena nad strumykiem”: temat snuje się leniwie w idyllicznym nastroju dolce far niente; to czysta kontemplacja, by nie powiedzieć: czysty „odjazd”, ale nie powiem, bo to się może źle skojarzyć :) . Słuchając tej leniwej, z wolna rozwijającej się melodii, odnosi się wrażenie, jakby się leżało z zamkniętymi oczami na

łące i stopniowo wtapiało w otoczenie, a wokół panował wszechogarniający spokój. Można wtedy naprawdę poczuć, że jest się częścią natury. Uważny słuchacz może wyłowić, z płynących dźwięków, szmer strumyka, szum wiatru, a nawet świergot ptaków. Kompozytor, w celu uzyskania efektu wiatru buszującego w trawach i koronach drzew (ów charakterystyczny szelest), zastosował dłuższe wartości nut: ćwierćnuty, a miejscami i półnuty, co w przełożeniu na chór smyczków dało fascynujący efekt. To mniej więcej tak, jakby malarz na płótnie wykonał zamasyżcie długie pociągnięcia pędzlem – w obu przypadkach długość trwania dźwięku i barwnej smugi służą temu samemu celowi. Obrazu dopełnia samotny klarnet, raz po raz przebijający się z poszumu traw jak ptak tokujący ze szczęścia.

Dozliśmy w ten sposób do najbardziej chyba znanego fragmentu naszej symfonii. Ale najpierw – zagadka. Nie wiem, czy ktoś z Czytelników pamięta jeszcze telewizyjny program „Zrób to sam”, w którym Adam Słodowy, ekranowa „złota rączka”, wyczarowywał na oczach widzów różne cudenka z przedmiotów codziennego użytku. Zatem teraz ja, podobnie jak przed laty on, zapytam: jak najprościej zrobić kukułkę? Ale taką, by do złudzenia przypominała tę prawdziwą? Okazuje się, że wystarczą do tego dwa... instrumenty: klarnet i flet. Genialny pomysł plus prostota wykonania naprzemiennych dźwięków: flet-klarnet-flet, granych ósemkami i szesnastkami, powtarzanymi kilkakrotnie – i już. Kukułka gotowa! Kto nie wierzy, niechaj sam posłucha... Jakże sugestywna, a przy tym bogata w środki wyrazu, może być muzyka. Ot, zabawił się pan Beethoven.

Tymczasem słuchajmy dalej. Następuje rubasznie radosna, roztańczona i głośna, mocno skontrastowana w nastroju z poprzednią częścią, „Wesoła zabawa wieśniaków”. To Allegro jest zapewne echem eskapad kompozytora po okolicznych wsiach, może do jakiejś karczmy, gdzie był świadkiem wiejskich potańcówek. Autentyczne pieśni i rytmy zostały tu oczyszczone z kurzu codzienności i przetransponowane w świat idealnej harmonii i wysublimowanego brzmienia.

Nagle – sielankę wiejskiej zabawy przerywa „Burza”. Między tymi częściami nie ma pauzy: płynnie, dynamiczny wiejski taniec przechodzi w dynamiczny „taniec” przyrody; to kolejna niespodzianka Mistrza. Części zlewają się ze sobą, wzajemnie z siebie wynikają, zacierając kontury poszczególnych obrazów. Jedna wielka impresja. Tego dotychczas nie bywało! W ciszę wiejskiego pejzażu wkrada się niepokój; zrywa się wiatr. Z impetem uderza o korony drzew i szarpie nimi w zapamiętaniu. W wyobraźni i w uszach słuchacza rozgrywa się typowy letni spektakl przyrody. Takt za takt zmienia się charakter obrazu: do smyczków dołącza „blacha”, potem kotły, dudniąc i pohukując: rozpędza się żywioł. A gdy huk wichury i szum ulewy rozdziera raz po raz gwałtowny, pojedynczy grzmot kotła, spointowany dramatycznym akordem smyczków, za każdym razem podwyższonym o ton, słuchacz ma prawdziwą frajdę, bo oto na jego oczach (uszach?) szaleje z hukiem i łomotem, „jak żywa” – burza z piorunami. Nawałnica trwa niecałą minutę, po czym przetacza się gdzieś, hen, za linię horyzontu. Wiatr przycicha, chmury się rozpraszają, na niebo powraca słońce. Wszystko dźwiękiem namalowane, a takie prawdziwe.

Całości dopełnia „Śpiew pastuszka – radosne uczucia po burzy”. Powraca nastrój radosnej kontemplacji, relaksu, wyciszenia. Kończy się Szósta. Powoli cichnie i odpywa z taktu na takt, jak z dnia na dzień kończy nam się to niepowtarzalne w tym roku lato. Ech...

Andrzej Habasiński

Ludwig van Beethoven, VI Symfonia F-Dur „Pastoralna”, op. 68: I. *Allegro ma non troppo* (Obudzenie się pogodnych uczuć po przybyciu na wieś), II. *Andante molto mosso* (Scena nad strumykiem), III. *Allegro* (Wesoła zabawa wieśniaków), IV. *Allegro* (Burza), V. *Allegretto* (Śpiew pastuszka – radosne uczucia po burzy).

PIEKIELNA SPRAWA



Jedno z pytań, które pojawiło się na egzaminie na wydziale chemii NUI Maynooth (National University of Ireland), brzmiało:
Czy piekło jest egzotermalne (oddaje ciepło) czy endotermalne (absorbuje ciepło)?

Większość odpowiedzi oparta była na prawie Boyle'a, które mówi, że w stałej temperaturze objętość danej masy gazu jest odwrotnie proporcjonalna do jego ciśnienia.

Odpowiedź jednego ze studentów była na tyle wyjątkowa, że profesor podzielił się z nią ze swoimi kolegami, a później jej treść przedstawił w internecie.

Ów student napisał tak:

Najpierw musimy stwierdzić, jak zmienia się masa piekła w czasie. Do tego potrzebna jest liczba dusz, które idą do piekła i liczba dusz, która piekło opuszcza.

Moim zdaniem, można ze sporym prawdopodobieństwem przyjąć, że dusze, które raz trafiły do piekła nigdy go nie opuszczają.

Na pytanie ile dusz idzie do piekła, można spojrzeć z punktu widzenia wielu istniejących dzisiaj religii. Większość z nich zakłada że do piekła idzie się wtedy, gdy nie wyznaje się tej właściwej wiary. Ponieważ religii jest więcej niż jedna i dlatego że nie można wyznawać kilku religii jednocześnie, można założyć, że wszystkie dusze idą do piekła.

Patrząc na częstotliwość narodzin i śmierci można założyć, że liczba dusz w piekle wzrastać będzie logarytmicznie.

Rozważmy więc pytanie o zmieniającą się objętość piekła. Ponieważ wg prawa Boyle'a wraz ze wzrostem liczby dusz rozszerzać się musi powierzchnia piekła tak, aby temperatura i ciśnienie w piekle pozostały stałe istnieją dwie możliwości:

1. Jeżeli piekło rozszerza się wolniej niż liczba przychodzących do niego dusz, temperatura i ciśnienie w piekle będą tak długo rosły, aż piekło się rozpadnie.
2. Jeżeli piekło szybciej się rozszerza niż liczba przychodzących tam dusz, wówczas temperatura i ciśnienie w piekle będą spadać, tak długo aż piekło zamrznie.

Która z tych możliwości jest bardziej realna?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę przepowiednię Sandry, która powiedziała do mnie „prędzej piekło zamrznie, niż się z tobą prześpię”, jak również to, że wczoraj z nią spałem, możliwa jest tylko ta druga opcja. Dlatego też jestem przekonany, że piekło jest endotermalne i musi być już zamrożone.

Z uwagi na to, że piekło zamrzło, można wnioskować, że żadna kolejna dusza nie może trafić do piekła, a ponieważ pozostaje jeszcze tylko niebo, dowodzi to też istnienia Osoby Boskiej, co z kolei tłumaczy, dlaczego Sandra cały wczorajszy wieczór krzychała „Oh, God”.

Student otrzymał ocenę „Bardzo dobry”

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR
209

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski,
Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: Marek Dąbrowski (3), Piotr Storoniak (24)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji